Konto czekowe P. K. O. 408.160.
Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena numeru 25 gr.



Rok V. Nowy Sącz, dnia 1 maja 1931. Nr. 7.

Konstytucja 3 Maja.

Konstytucja 3 Maja była największym wysiłkiem twórczym upadającej Polski, skierowanym ku odrodzeniu państwa i społeczeństwa.

Była świadectwem tego, jak szybko i zdecydowanie szła Polska do nowoczesnej państwowości, — jak wspaniały rozkwit sił twórczych narodu mógł być bezpośrednim skutkiem tej konstytucji.

Niestety mocarstwa ościenne nie dopuściły do zrealizowania myśli zawartych w konstytucji, obawiając się wzrostu sił i potęgi Rzeczypospolitej, którą już uważały za swój łup. Nie dopuściły tembardziej, że konstytucja była ideą demokratyczną, godziła więc w same podstawy absolutyzmu; dlatego w obozie absolutnych wrogów naszych: Prus, Rosji i Austrji, wywołała popłoch i przerażenie.

Ale, jeśli wrogowie nasi z wściekłością zwalczali konstytucję, — to cały ówczesny świat kulturalny powitał ją niemal z entuzjazmem; toteż duch narodowy Polaków osiągnął całą sławę powodzenia, a piętno klęski nie splamiło go.

Nie splamiło dlatego, że chociaż Polska upadła, chociaż straszne nieszczęścia zniszczyły jej organizm, to jednak wielka idea konstytucji pozostała w społeczeństwie naszem jako spuścizna duchowa myślącej i oświeconej Polski z końca XVIII w., jako świadectwo olbrzymich zdolności rozwojowych.

Konstytucja 3 Maja stała się dla nas ideą moralną, budzącą ze snu niewoli bojowników wolności, wierzących, że Polska zginąć nie może.

Ale i dziś, w epoce Polski Odrodzonej nie utraciła dla nas Konstytucja 3 Maja olbrzymiego znaczenia dziejowego.

Więc wobec trudów i niebezpie-

czeństw, jakie nas czekać mogą w przyszłości, powinniśmy wierzyć, że naród nasz przy dobrej woli usunie wszelkie przeszkody w swym wielkim pochodzie ku mocarstwowej potędze.

Skoczeń Władysław
kl. VI a Gimn. I.

PIŁSUDSKI
pod Marcinkowicami.

(Na podstawie opowiadania ludowego).

Po cichem, uroczystem nabożeństwie w Chomranicach wyszedłem z kościoła. Ranek był chłodny — jeden z tych surowych podhalańskich, pochmurnych poranków; tylko na wschodzie krwawił ogromny szmat nieba, tlił się i rozżarzał, jakby olbrzymi pożar ogarnął niebiosy.

Jędrzej, stary i doświadczony gospodarz szedł tuż przedemną; przyspieszywszy więc kroku pozdrowiłem go, poczem zaczęliśmy rozmawiać na różne tematy. Stary był niepomiernie ożywiony i wesoły — rozmowa więc biegła szybko.

— Pamiętom jak dziś — śli my z kościoła z ranne msze, a tu ci stąd, ni zowąd leci hurma ułanów od Męcine. Jakisi starsy, co jechoł przed nimi, przystanął przedemną — a konia ci mioł jak smoka — i pytoł:

— Gospodarzu, nie widzieliście tu gdzie Moskali?

— Nie widziołem, panie oficer — mówię.

Zawinął koniem, krzyknął coś do swoik ułanów i polecieli kajsi ku Marcinkowicom.

Idę dali — a tu jak z jasnego nieba coś hukło, az ci mie w zod cofło, a kulecki to ci tak zacęły bić, jak nieprzymierzając grod.

O, krew!... myślę sobie — trza sie bedzie kaj schować... Wlozem do dwora w Klęczanach i cekom. Wedle godziny 10-ty spoglądom bez okno... cosik sie cyrni; wylozem na dach, patrzę, a dyć to naskie wojsko — egjoniści... Skręcili do dwora... Na samym przedzie jechoł Piłsudski w siwym płaszczu, zarośnięty. Zsiod z konia, wszed do dwora w otoceniu sztabsoficerów. Jako wójt zostołem dopuscony przed jego osobę. Przedstawiłem sie mu, on mnie, i takeśmy sobie zacęli gwarzyć, — a bestyje kulki gwizdają i gwizdają. Moskole parli od Marcinkowic, nasi zaś śli ku nim od Limanowe. W Klęczanach zrobili krótki postój.

Piłsudski zażądoł odemnie kapusty kiszony dlo 500 ludzi, 10 metrów owsa i 8 metrów siana dlo koni. Jo zmortwiłem sie tem żądaniem, bo skądze tu tak na łeb wziąć — i tłumacę sie, ze u mnie w gminie naród daleko porozrzucany, — az tu doskakuje adjutant i nuze na mnie jak na psa, dopiero Pan Piłsudski kozoł mu siedzieć cicho i przeprosił mie.

Kiej juz sporo nagodalimy sie, poszedem wykonać jego polecenie. Ledwom wysed ze dwora, patrzę, a tu ci leci kilku ułanów co koń wyskocy.

— Gdzie Komendant? Gdzie Komendant? Wrócilimy do dwora.

— Panie Komendancie! Moskale!!

Piłsudski bez słowa siod na konia i pognali wszyscy ku Marcinkowicom.

Za kawołek casu huk okropny wstrząsnął powietrzem. Kanony biły a biły od kurowskie góry — myślołem, ze to juz koniec świata... Ano, ucichło trocha... myślę sobie: moze bedzie koniec... Za kilka chwil znowu huk... W Marcinkowicach koło lasu przede dworem tak ci sie panie legjony pokładły, jakbyś snopki zyta powiązoł i poukładoł.

Koło godziny cworte zapolili Moskole w Kurowie most. Gwołt sie zrobił okropny. Jo z tym owsem i kapustą nie wiem co zrobić, a tu ci panie dziejku biją a biją. Jade ku Marcinkowicom, a tam zgiełk łokrutny... Ułani wepchnęli swoje konie w Dunajec i jazda na drugą stronę! Ale dumne były — ani ci jeden głowy nie schylił!... — Co się z nimi stało, nie wiem. Piłsudski zajechoł do dwora w Marcinkowicach, ale jakosi wnet stamtąd wyjechali. A ku wieczorowi jakoś sie to wszystko przewaliło, a legjoniści cofali sie ku Limanowe. Moskole zaś bili a bili, az sie ziemia trzęsła. Dopiero w nocy troche ucichło.

Na drugi dzień idę jo popatrzeć, jak to tam wyglądo to pole bitwy... Na śniegu leżeli nasi i Moskole jeden obok drugiego jak kloce. Jeden, jak mu ta było — aha! Milko, kapitan.... dyć on wcora u mnie jod kolacją!

Całą głowę ci mioł granatem rozwaloną. A drugi tak przyleg, jakby społ.. Wykopalimy wspólny grób i legli se tak jeden na drugim, az sie cłekowi płakać chciało....

Takie to były czasy, mój panie!

Pożegnałem się z nim i poszedłem dalej ku domowi, dumając o żałobnej sławie Legjonistów, których grób widnieje na tle ciemnych ścian lasu, zwanego „Pasternikiem". Czasem wiatr nad nimi zapłacze, lub księżyc wszedłszy nocą, poduma nad ich mogiłą — samotnie. bo ludzie zapomnieli.

St. K-r.

Potęga skrzypiec.

Brzmią ciche tony, struna drga lekko...
Płynie muzyka słodka, kojąca —
Biedną mą duszę nawskróś przenika
Ta nuta rzewna, smętna — mdlejąca...

Wyraźne łkanie słyszę w głębi duszy,
Myśl się unosi hen — w dal —
A tony płyną miękko, spokojnie
I wylewają smutek, ból i żal...

O jakże słodka melodja płynie!...
Struna drży lekko — to znów wybucha —
I gra tak chwilę w szału zapale
I znów przycicha....

Ręka grająca czasem zadrży chwilę,
Jakby z nadmiaru uczucia w duszy —
To znów nagina struny leciuchno
Tak, że choć nie chce, serce poruszy!

Nic więc dziwnego, że łza zabłyśnie,
Żrenicę oka chwilę przysłoni —
Wstrzymać nie można — sama się ciśnie!
Lice się wtedy silniej zapłoni...

K. B.

Szkoła Przem. żeńska, kurs III.

Ed. Śl.

kl. VIII Gimn. I.

Czas, Postęp i Dusza.

Potężny, wszechmocny Czas szedł szybkim krokiem, pędząc przed sobą Postęp i krocząc wielką stopą po powierzchni ziemi.

I szedł wciąż, nigdy niestrudzony, nigdy spoczynku ani wytchnienia nie pragnący, zawsze żądny zmiany, ruchu i przewrotu.

Przechodząc, tu równał z ziemią olbrzymie góry, tam zwracał koryta rzek i osuszał wody rozległe, tam znów kwitnące kraje oceanami zalewał, a jeszcze dalej jednym zamachem swych potężnych ramion karczował obszary dziewiczych lasów.

Szedł, zmieniając wciąż postać potulnej ziemi, to ją zdobiąc i strojąc, to znów niszcząc jej wdzięki, paląc ogniem, zalewając wodą, gruzami zasypując.

A przed nim pędził gnany przez niego Postęp.

Wiecznie w pośpiechu, nie mogąc ani chwili zatrzymać się w miejscu, biegł naprzód, chwytając pierwsze lepsze materjały, co mu pod ręce podpadły i budował, wciąż budował i wznosił wspaniałe gmachy, wielkie i widne. A w chwilę później, gdy Postęp gnany przez Czas pędził dalej, by wznosić nowe gmachy, wieże i mury — Czas jednem uderzeniem potężnej stopy w gruzy zamieniał to, co on zbudował.

I tak wciąż biegli obaj, wznosząc i burząc.

Istnieli jednak wrogowie tych dwóch zbratanych olbrzymów. Całemi masami stawali na drodze i chcieli powstrzymać ten triumfujący pochód, poprzez świat idący, chcieli go zmusić do cofnięcia, do zatrzymania się choćby na chwilę.

Ale Postęp walczył z uśmiechem wzgardy i politowania — i zawsze zwyciężał. — A czas niepowstrzymany tratował zrozpaczonych, deptał po ich głowach i biegł, biegł wciąż przed siebie, pędząc Postęp, którego gniewało, że nie miał o co w powietrzu rąk zaczepić; aż wreszcie nabrawszy gruzów z przeszłości, stawiał cegłę na cegle i oto — strzelił w górę niebotyczny gmach, którego szczyt tkwił gdzieś w chmurach.

Lecz i to go nie zadowoliło — bo jeszcze niezwyciężona Natura szydziła z niego.

Więc razem z bratem-Czasem rzucili się na nią — zawrzała walka — i Natura uległa. Przykuł ją Czas do granitowej skały, a Postęp kazał stalowym ptakom latać wokół i piekielnym jazgotem motorów opiewać swój triumf. A u stóp przykutej Natury z świstem i wyciem syren pędziły przez przepaście i poprzez skały żelazne olbrzymy.

Lecz i na tem Postęp nie poprzestał, bo dla uprzyjemnienia samotnych chwil przykutej niewolnicy, postawił przed nią rozgłośnik radjowy.

A w czasie tych prac ani na chwilę się nie zatrzymał i szedł wciąż naprzód pędzony przez nielitościwy Czas.

A za nimi odwrócona i nieruchoma stała Przeszłość, ogarniając rozpostartemi skrzydłami minione lata i wieki, w gruzy rozpadłe gmachy i świątynie, miljony mogił smutnych i samotnych. — A nad nią, niby żywy ptak, kołysało się uskrzydlone Wspomnienie.

Ale Czas miał jedną nieprzyjaciółkę — ludzką Duszę. Nieprzyjaciółkę, której pokonać nie mógł. Bo wszystko, co on gładził ze świata, co tratował, niszczył, wykorzeniał i odrzucał — to wszystko garnęła ona do siebie, to wszystko przechowywała.

I każdej rozpadłej ruiny świątyni, każdej pieśni umarłej a pięknej, każdemu zgaszonemu ogniowi wznosiła mogiłę i składała na niej brylantowy wieniec z łez.

Gniewało to Czas i wydał jej wojnę. Gniewał ten jej sojusz z Przeszłością, to, że ogarniała ją całą, podczas gdy on Teraźniejszością żył tylko. Ale nie dość na tem. Dusza ta zuchwała, prześcigała jego, potężnego olbrzyma, wyrywała się naprzód, marzeniem i myślą sięgając w przyszłość, zagarniając ją na własność przeczuciem i jasnowidzeniem.

Czy on na to może zezwolić? On, który władnie wszystkiem: światem i ziemią i ludzi losami i życiem i śmiercią. On, który woła potężnym głosem: „Prędzej, prędzej!" On, kierownik Postępu, pan życia i śmierci.

I nagle wezbrała w nim nienawiść.

Skąd ta siła w Duszy i ta moc, że ogarnąć wszystko może i wszystko pomieścić w sobie jednocześnie? Skąd ta zuchwałość, aby jemu poważyć się opierać?! — Ona nie rachuje się z nim, zuchwała! — Podczas gdy najpiękniejszemu ciału on potężny i nieubłagany odbiera młodość, piękność i życie, i w proch je ściera, ziemią zasypuje, robakom daje na pastwę. — Jej jednej zgnieść nie może — nie może jej wydrzeć młodości, siły i piękna, ani w proch obrócić.

Tak być nie może! On ją musi zwalczyć!

Poruszył wszelkie możliwe sposoby: próbował ukołysać ją ciszą i spokojem, by uśpić i snem zabić. Chciał odebrać jej wszystkie wiary, zniszczyć nadzieje, a wsączyć jad zwątpienia i apatji, prowadząc tak powoli drogą śmierci.

Ale Dusza żyła....

Jan Mroczkowski
VIII c Gimn. II.

Zjazd koleżeński.

(Dokończenie).

Minęło wiele, wiele lat...

W jednym z najwspanialszych hoteli, jakimi stolica Podhala może się poszczycić, panował od wczesnego rana niecodzienny, gorączkowy ruch.

Sam pan Laurenty, właściciel „Imperjalu", wysoki, otyły mężczyzna przyodziany w wytarty już nieco frak, pamiętający zapewne jego pierwszą ś. p. małżonkę Stanisławę, która w skromny jego mająteczek wniosła dość znaczny kapitalik, kręcił się bezustanku wśród stołów, stolików i mnóstwa krzeseł, ocierając od czasu do czasu silnie zaperfumowaną chusteczką spocone czoło. Wciąż wydawał jakieś rozkazy, notował coś i naglił służbę do pośpiechu. A cała gromada kelnerów z minami uroczystemi, ustawiwszy się w długim szeregu obok bufetu, wytrzymała „przegląd" swego pryncypała, a po krótkiej jego mowie znowu rozprószyła się po całej sali.

Pan Laurenty niecierpliwie jakoś, spoglądając na ogromny „cyferblat" ściennego zegara, sprawdzał czas z małym kieszonkowym i z pewnem niedowierzaniem kiwał dobrze już łysą głową.

— Już siódma trzydzieści... — mruczał pod nosem. — Za piętnaście minut powinni przyjechać.

Wyciągnął z portfelu mały, najnowszy rozkład jazdy kolejowej i przez zamglone okulary począł szukać pociągu krakowskiego.

— A więc tak... za piętnaście... chyba, że zjawią się dopiero tym jedenasta dziesięć...

Usiadł za bufetem i skierował swój wzrok w głąb ogromnej sali. Już oczami prowadził i zapraszał gości do stołów, już witał się z najlepszymi kolegami, których tak dawno nie widział... On sam, od czasu jak zdali maturę, siedzi w Sączu. Wszyscy inni koledzy porozjeżdżali się na wszystkie strony świata i nikogo jeszcze nie widział — tylko... tylko Doliński odwiedził go coś dwa razy, jako przejezdny gość.

Aż wreszcie zrozumiawszy, jak ścisłym węzłem połączona jest Dusza z Sercem, Czas uderzył na to ostatnie.

A w Sercu tem była jedna wielka Miłość, która białemi skrzydłami objęła przez Życie usypaną mogiłę uczucia i płakała nad nią. Czas uderzył w tę mogiłę swoją ciężką dłonią. Ale mogiła nie rozprysła się, bo była usypana ze skamieniałych z bólu łez.

Rozwścieczony, ale niestrudzony, ale zawsze miarowy i zimny Czas, powoli, długo, nieznacznie a ciągle rył mogiłę od spodu, a białego Anioła miłości chciał uśpić.

Długie lata Czas tak niszczył mogiłę, aż wreszcie długim trudem zrównał ją z ziemią. A biały Anioł gdzieś w świat odleciał daleki.

Wtedy Postęp, bratni olbrzym, złotym piaskiem zasypywał jej oczy, próbował zlać ją z ciałem w jedną całość, dając jej zapomnienie o samej sobie, stroił ją w brylanty i szmaragdy. — I zdawało się tym olbrzymom, że Dusza już im uległa. Bo przecież nie miała już Serca, bo sercem była ta mogiła, którą on, Czas, potężny pan życia i śmierci zrównał z ziemią.

I teraz Czas z radością i triumfem spojrzał na swoje dzieło. I spojrzał na tę, której wydarł wszystko, co umiłowała, w co uwierzyła, co pragnęła i co pożądała.

A Ona żyła!!...

— Czemu żyjesz, nieszczęsna, gdy zda się wszystkie pierwiastki życia ci zagarnąłem? — zawołał Czas do Duszy. — Czem jesteś ty, której zniszczyć nie mogę?...

Stargana, cierpiąca Dusza wypromieniła z siebie jasną, świecącą wiecznie, dla świata niedostrzegalną aureolę nieśmiertelności.

— Żyję, bom jest Jego odbiciem. Żyję tchnieniem, które jest boską prawdą, a jam tej prawdy niezwyciężonej cząstką żywą na wieki!

I dumny Czas, potężny pan życia i śmierci, Czas wieczny rewolucjonista — opuścił swe dłonie, któremi niszczył i tworzył, i rozpłynął się w nieogarnionych falach Wieczności.

A uskrzydlona Dusza, opromieniona aureolą cierpienia i nieśmiertelności uleciała do Tego, który jest jej Istnieniem.

O, miłe to były czasy.. a jak już odległe!...

Dziś każdy na stanowisku — wielkie osobistości; o każdym coś dzienniki pisały... Antek Zarębski, ten „Syc", któremu nasz Toluś, „synuś mamusi", przepowiedział powodzenie u... pacjentów, jest doktorem, Tadek Lazor, „żelazny skarbnik klasowy" — dyrektorem banku, Józek Kowalik majorem, Paszek sławnym filologiem, Janek Jasielski doktorem św. teologji, „Ben Ali" głośnym artystą malarzem; trochę dziwak... mówią, że nie ma dobrze w głowie, mówią też, że lubi też i do kieliszka zaglądać — a jednak maluje... Studentem był, zdaje mi się, w szóstej, kiedy to cios za ciosem spadał na tego biednego chłopca. Nieodwzajemniona miłość do p. Ireny Keszkówny — dziś pani majorowa Kowalikowa, śmierć ojca, bezpośrednio potem choroba matki, to wszystko podziałało na jego chorowity organizm nieszczególnie. Brak funduszów i małe zdolności podały mu pendzel do ręki, a dziś... stał się głośnym malarzem...

A Jasielski, doktor teologji; jak dziś go widzę: codziennie rano chodził do Jezuitów na „szóstówkę", służył stale do mszy, a zawsze marzył o tem, aby zostać księdzem...

...Toż to będzie witanie!...

Pan Laurenty uśmiechnął się i już chciał swą radość okazać w długim, głośnym, barytonowym śmiechu, gdy wtem od strony kuchni doleciał go brzęk upadającego na posadzkę talerza. Otrząsnął się z marzeń i w kilku dużych podskokach znalazł się na „miejscu wypadku". Już miał wymierzyć nagrodę chłopcu, któremu półmisek wysmyknął się z ręki, ale przypomniawszy sobie podobny wypadek na stypie po pogrzebie ś. p. pani Dolińskiej, złagodniał.

Wówczas, kiedy przez nieuwagę kucharz stłukł ogromną fajansową wazę, a pan Laurenty, spodziewając się usłyszeć z ust zasmuconego ojca całego potoku słów groźby, doznał rozczarowania: Syn spojrzał na ojca, ojciec na syna, który ledwo dosłyszanym głosem szepnął: „...i odpuść nam nasze winy, jako i my..." Wtenczas ojciec przybliżył się do zakłopotanego i wielce przerażonego ku-

PRZEDWIOŚNIE.

Zima skończona, choć jeszcze czasem
Śniegu płateczki fruną nad lasem
I znikną w dali. Słonko coraz jaśniej świeci
I wkróice życie na ziemi roznieci.

Rzeki spuściły już kry z prądem wody,
A doczekawszy się wreszcie swobody,
Już niespętane szemrzą wesoło,
Radość, wesele rozsyłają wkoło.

Lasy, chociaż chór ptasząt w nich jeszcze nie
I wiatr świergotu wkoło nie rozwiewa, [śpiewa
One odczuły bliski powrót wiosny
I w nich panuje ten nastrój radosny.

Ziemia, która długo twardym snem spowita
Odpoczywała, już ciepłem tchnieniem owita,
Budzi się ze snu, zrzuca martwotę,
Zbroi się w nową do życia ochotę.

Drzewa są jeszcze nagie, nie okryte liściem,
Lecz radzą między sobą uroczyście,
W jakie liście się ubrać? Jakim kwiatem sypnąć?
Aby Królowę Wiosny jak najgodniej przyjąć.

I wszystko czeka tęsknie, wygląda przybycia
Oczekiwanej wiosny! Czeka od niej życia,
Którem ona obdarza wszystko naokoło,
Z jej przyjściem wszędzie radośnie, wesoło.

I ludzie oczekują z tęsknotą powrotu
Tej ukochanej wiosny! Odgadują z lotu
Chmur, czy prędko przyjdzie? Co w darze przyniesie?
Czy spokój, szczęście trwałe do serca ich wniesie?

St. Kaliszówna
Szkoła Przem. żeń., kurs III.

JASŁO—GIMNAZJUM.

Meteorologja w lotnictwie.

Ostatni przelot Zeppelina nad Oceanem Atlantyckim wykazuje wielkie udoskonalenie w lotnictwie. Bezpieczeństwo lotu mogą gwarantować systematyczne spostrzeżenia meteorclogiczne. Bardzo ważnym czynnikiem w służbie meteorologicznej powinno być dużo stacyj meteorologicznych, któreby umożliwiały orjentację lotnikom.

Lotnictwo zależne jest od zmian atmosferycznych, t. j. wiatru, mgły i burz. Stacje meteorologiczne zawiadamiają i komunikują lotnikom w służbie napowietrznej. Stacje zajmują się przedewszystkiem: siłą wiatru, przeźroczystością powietrza, wielkością zachmurzenia — wogóle ogólnym stanem pogody.

charza i położywszy mu rękę na ramieniu, rzekł:

— Panie Janie, gdzie się tłucze, leje, tam się dobrze dzieje! Przypadek i nic.

A zwracając się do Tolka, tak powiedział:

— Synu mój! dziś poznałem piękną, szlachetną duszę twoją... Nie narzucam ci przyszłego zawodu, ale to ci tylko jedno muszę powiedzieć, iż dumnym byłbym, widząc cię kiedyś księdzem, bo dobre masz serce...

Przypomniawszy sobie ten wypadek, pan Laurenty pokiwał tylko palcem winowajcy i powrócił do swoich marzeń.

A podczas, gdy pan Laurenty zadumany siedział za bufetem i stwarzał obrazy przeszłości, kelnerzy liczyli już „napiwki" od uczestników zjazdu.

. . . .

— W ręce kolegi, panie Stanisławie!

— Co? Dziś my wszyscy koledzy, równi! Dziś ja Staszek, ty Józek.

— W ręce twoje Staszku!

— I w twoje... daj pyska! Tak! Jeszcze raz.. i jeszcze jeden!...

Pan Laurenty tymczasem, mimo tuszy, z nadzwyczajną zwinnością przebiegał od jednego do drugiego stołu. Przy każdym bawił parę chwil i znowu szedł dalej, przywoływany po imieniu przez rozczulone uroczystym dniem bractwo.

Powietrze przepełnione aromatem przeróżnych płynów wyskokowych, dymem cygar i papierosów, było ciężkie i duszne.

Otwarto górne okna. Napływ świeżego powietrza orzeźwił nieco rozbawionych kolegów.

Rozmawiali serdecznie i długo, popijając wśród wesołego śmiechu, śpiewając przeróżne piosenki i arje. — Libacja przeciągnęła się do późnego zmierzchu.

A tymczasem nasi znajomi przygotowywali się do zwiedzania samego miasta i dawnych miejsc, gdzie jako studenci mieszkali na stancjach.

W tej jednak chwili otwarły się drzwi i do sali, jak bomba wpadł dawno oczekiwany lotnik [chociaż stary inżynier, podczas wojny nauczył się latać].

Przepowiednie dla lotników są krótkoterminowe, gdyż ograniczają się zazwyczaj do 6-ciu godzin naprzód, zaś zwykłe prognozy obejmują 24 godzin. — W Polsce prognozy podawane są drogą radjofoniczną.

Obecnie w Polsce mamy dwa rodzaje sieci meteorologicznych: cywilne i wojskowe. Wogóle na każdej linji muszą się znajdować conajmniej dwie takie stacje: początkowa — w Warszawie, końcowa — w Krakowie lub we Lwowie. Prócz tego każda linja ma pomniejsze stacje między głównemi stacjami.

Stacje meteorologiczne zajmują się obserwacjami co do kierunku i siły wiatru na wysokości od 100—1000 m. Badaniami wyższych warstw powietrznych zajmuje się aerologja (odrębny dział meteorologji). W obserwacjach tych są używane przyrządy samopiszące, t. zw. meteorografy lub barografy, notujące ciśnienie niżu barometrycznego. — Dla określania t. zw. górnych wiatrów są puszczane małe baloniki pilotowe, które notują siłę i kierunek wiatrów.

Loty powietrzne, zwłaszcza nadmorskie, uzależnione są od tysiąca dokładnych obserwacyj meteorologicznych, a nie od konstrukcji samolotów lub sprawności lotników.

Jak dokonano odkrycia największego meteorytu?

W Arizonie, w Canon Diablo (St. Zjed.) odkryto największy meteoryt na świecie. Meteor z Canon Diablo, który prawdopodobnie dosięgnął ziemi jeszcze przed wiekami, z powodu swego ogromnego ciężaru i ogromnej prędkości zarył się głęboko w ziemi. O jego obecności we wnętrzu ziemi świadczyły różne wskazówki, jednak w danej chwili nie zdołano określić jego położenia w głębi ziemi.

Po dwunastu latach, które pochłonęły wiele miljonów dolarów, nareszcie go odkryto. Meteoryt znaleziono w głębokości 160 m. na zachód od krateru, którego średnica wynosiła 16 m długości, przy 130 m głębokości dna. Olbrzymie wymiary krateru świadczyły, iż sam meteoryt był bardzo wielki. W krótkim czasie podjęto pracę nad odkopaniem tego aerolitu. Wiele lat nie okazywała praca żadnego rezultatu, dopiero dr. Barringer przeprowadziwszy badania, określił miejsce pobytu meteorytu w ziemi.

Po przekopaniu 300 m ziemi natrafiono na cel poszukiwań. Meteoryt ten waży ok.

— Przepraszam za spóźnienie — rzekł — no i nie patrzcie na mój garnitur, ale ja tak prosto z lotniska...

— Co? — zapytało kilku zdziwionych — w Sączu lotnisko?...

— Paradni jesteście! alboż Sącz nie miasto? Myślicie, że zawsze będzie takim, jakim był za naszych „lepszych czasów“... A, witam, witam! — zawołał nagle, spostrzegając dobrze znaną mu twarz. — Ksiądz Doliński, o ile się nie mylę?...

I dwaj najlepsi koledzy z ławy szkolnej, po wielu, wielu latach niewidzenia się, rzucilt się wzajem w ramiona, ściskali i całowali.

— Co za miłe spotkanie! Witam cię „święty proroku“! Tobie doprawdy dały niebiosa dar czytania z tajemnej księgi przyszłości; tyś mi przepowiedział „górny szlak“...

— A mnie powodzenie u pacjentów — zawołał doktor Zarębski.

— W górę proroka! w górę!!

— Gwałtu! ratunku! ja chcę żyć... — wołał, a raczej krzyczał korpulentny księżulek, pod którym jękło krzesło z bólu...

Wśród wesołych rozmów, śmiechów i piosenek schylał się dzień ku końcowi i blady księżyc z poza czubów drzew wychylił swą pyzatą i roześmianą twarz, i majestatycznie, powoli płynął ponad domami sennego już Sącza.

Cisza zaległa uśpione miasto — na chwilę i nasi znajomi zamilkli, wsłuchując się w cichy szept majowej nocy, budząc wspomnienia...

Sam Doliński, wysunąwszy się jakoś z towarzystwa, podążył w stronę cmentarza, gdzie na grobie swej ukochanej matki poraz wtóry przeżywał drogie dla niego chwile młodości.

— Mateczko moja! Twój synek Toluś z Tobą mówi!... Tak Matko! ja tu jestem, Twój syn, dziś już Antoni... Oh! już Ty mię nie będziesz pieścić? Nie cieszysz się, że syn Twój poszedł śladem wuja Jurkowskiego? O, Matko moja najdroższa!

Nazajutrz rano, kiedy nasi znajomi wędrowali po Sączu, oglądając dawne swoje miejsca i stancje, w kościele parafjalnym, przy bocznym ołtarzu ksiądz Doliński odprawiał mszę żałobną...

12 miljonów tonn, a więc o wydobyciu go z ziemi niema mowy. Metoda rozsadzania dynamitem nie nadaje się, gdyż wielka ilość materjału uległaby stracie. Samo zaś przepiłowanie nastręcza wielkie trudności z powoou wielkiej twardości składników. Podobny skład żelaza i niklu nadaje się do budowy okrętów wojennych. Meteoryt ten zawiera w sobie 20 gr. cyny na każdą tonnę, co przy wadze 12 milj. tonn, daje conajmniej kwotę 100 milj. dolarów.

Sprawdzono również, że podobne meteoryty jak ten, zawierają w sobie djamenty.

Wprawdzie meteoryt ten zawiera kruszce, ale są one bardzo znikome, tak, że się handel nie opłaci.

Obok tego meteorytu wchodziły i inne pomniejsze. W roku 1870 znalezione przez Nordenskielda na wyspie Grenlandji w trzech częściach masy żelaza wagi 25 tyś., 10 tyś. i 4.500 kg. Inny meteoryt wagi 25 tonn znaleziono w Meksyku. Bryłę tę razem z inną t. zw. „Willamette“ wagi 15 tonn złożono w muzeum w Nowym Jorku. — Wogóle meteoryt z Canon Diablo swojemi wymiarami zaćmiewa wszystkie inne znane dotąd ciała.

Hallo!! Konwikt pisze...

Do „Lotu“ pisze każdy człek,
Bez względu na płeć, strój i wiek.

I my, szara brać konwiktorska, chcemy na łamach tego sławetnego pisma umieścić kilka obrazków z naszego życia.

. . . .

Rano skoro świt, pogrążone w słodkich snach dziewczątka budzi przeraźliwy głos dzwonka — „czas wstawać!.. czas wstawać!..“ Daremnie każda zatyka uszy, naciąga pierzynę. Daremnie!... Nieubłagana rzeczywistość w postaci szkolnego dnia, a co za tem idzie — dwój, łez i innych mniej sympatycznych eksperymentów, które każda uczenica znosić musi, przedstawia się w całej swej grozie.

Upłynęła długa chwila, zanim „kochane aniołki“ zdecydowały się opuścić swe nocne legowiska. Zaczęło się ubieranie. Jakkolwiek jesteśmy bez pretensji, to jednak ta czynność nam ogromnie dużo czasu pochłania, zwłaszcza fryzury. Ach! te fryzury, to bardzo czuła struna każdej z nas... Zjadłszy śniadanie, pędzimy z pośpiechem co tchu do „budy“ (ale nie ze zbytniego pociągu ku wiedzy), tu bowiem jeszcze trzeba zadanie odwalić, tamto powtórzyć, a właściwie nauczyć się i t. d. Strach po piętach depce, bo nuż jaki „b . . . .“, niemający respektu dla płci pięknej, wyrwie... Na wypadek taki, jedna z drugą wymyślamy różne dolegliwości (najczęściej stosuje się ból zębów i głowy)...

Wreszcie mija czas zajęć szkolnych i wracamy do konwiktu. O powodzeniu na godzinach można wydać sąd, obserwując nasze wielce nieszczególne miny. Albowiem, iż, ponieważ do obiadu trochę jeszcze czasu, więc każda zajmuje się jakąś robotą. Stateczna Danusia, zatykając uszy, zagłębia się w swoich metodykach, psychologjach i licho wie, czem tam jeszcze. Podnosi jednak co chwilę swą kształtną główkę ze stosu nieznośnych wykładów i grzmiącym głosem oznajmia, iż uszy jej puchną. Taki to los 4-to kursistki! Masi brzdąka i nuci „Na sądockiej ziemi są ładne panienki“. Meri wyciąga pendzel, farby olejne, i korzystając z natchnienia twórczego maluje cuda. Leo wyciąga nieśmiertelny sweter i jakieś manipulacje szydełkiem wyrabia. Zocha, ta trzepie bezustanku, od wieczora do poranku itd., i człek mimo chęci zachowania powagi, musi się śmiać, gdy zacznie sypać dowcipami. — Egzaltowana Janka, bujając w obłokach, oddaje się marzeniom, względnie kleci wiersze. „Piątaki“ nie biorą udziału w naszych figlach, gdyż widmo bliskiej matury nie pozwala im na to.

O ile pogoda cudna, robimy „malutki wymarsz“. Polega on na beznadziejnem łażeniu po pustych, błotnistych ulicach Bryjowa, pod opieką s. Anny. Potem następuje odwrót a następnie odrabianie lekcyj, ale to nic ciekawego.

Zbliża się wieczór. Po trudzie, znoju, należy się chwila spokoju. Więc co będziemy robić?... Wprawdzie

U Sióstr Klarysek jest śliczny gracik,

zwie się: radjowy aparacik;
jest to maleńkie licho,
co zawsze stoi — ale... — cicho!...

Pełna pomysłów Leo „baletniczka" rozstrzyga tę kwestję, mówiąc: „Będziemy tańczyły". — Projekt przyjęto i bez względu na post wprowadzono w czyn. Zocha czarna wyciąga organki i gra: „Poszli dziadowie na Kalwaryją". Wdzięczna, smukła i żwawa Danusia, złapawszy równie smukłą i pełną werwy Meri, kołyszą się lekko w takt nuconego walca. — Masi, ująwszy się pod boki, tańczy solo „kozackiego". Złotowłosa Janka z czarnooką Leo tańczą „tango". Wśród wirujących par plącze się „pentak" Zdziska (przedstawicielka kl. IV ćwiczeń), naśladując jednocześnie wszystkie ruchy, przez co stwarza jakiś wielce egzotyczny taniec.

...Nareszcie ulegamy zmęczeniu. Ale ze zmęczeniem zjawia się głód!! Co robić? — Kolacja dawno minęła... Trzeba jakoś samym zaradzić... Przedsiębiorcze konwiktorki nawet i na taką ewentualność są przygotowane. Wymownym tego dowodem jest wydobycie prymusa na „powierzchnię ziemi" z kosza prowiantowego Masi, który obecnie nie grzeszy zbytnią obfitością. W chwilę potem w garnuszku (Dorki D.) gotują się „jojki" albo inny specjał...

Ale jeszcze jeden ważny moment. Gdy na ulicach Grodu św. Kingi pojawią się afisze, głoszące obywatelom, że odbędzie się kino, albo jaka „dzika komedja", wtedy przypuszczamy szturm do P. Mistrzyni o pozwolenie, no i przedewszystkiem o... forsę. Ta, chcąc się pozbyć „kochanych aniołków", zwleka „kasę ogniotrwałą". Pojawienie się tego minerała wywołuje radosne piski. Lecz znowu wyłania się potworna przeszkoda — „Bez opieki pójść nie możecie!"... Szczęściem p. Alinka ma „miętkie" serce i ofiarowuje się iść z nami. Cudowna! Kochana p. Alinka...

Na tem chyba już zakończymy to zbyt może cudne „ględzenie".

Ślemy „pozdrowiska" dla Czytelniczek i —ków „Lotu".

Wilno — Rozembark — Łuck — Rozwadów — Bochnia — Włocławek — Warszawa (zebrane, dzielą dolę i niedolę w... Bryjowie!!)

NASZE ŻYCIE

Zdawałoby się napozór, iż tak poważna chwila, jak matura, zadecyduje o nastroju w naszem gimnazjum, wyciśnie nieubłaganie swe piętno, ciemną chmurą przysłoni widnokrąg naszych myśli, zmuszając je temsamem do krążenia wokół kłębowiska pytajnikowego matury, że jako miecz Damoklesa zawiśnie nietylko nad maturzystami, ale stwarzając atmosferę podniecenia, zabije i stłumi w zarodku każdy odruch życia gimnazjalnego.

W tym roku jednakże jest inaczej. Nie znaczy to, aby poza maturzystami nikt nie interesował się maturą, ale potrafiono połączyć jedno z drugiem. Staraniem bowiem Red. „Lotu" wygłosił p. Wiktor Doda, autor monografji o Reymoncie — 6 odczytów o: Kasprowiczu, Sienkiewiczu, Reymoncie, Prusie, Żeromskim, oraz literaturze współczesnej. Na piękne te wykłady uczęszczali pilnie maturzyści, interesując się zarówno wspaniale przedstawionym życiorysem Reymonta, którego burzliwa młodość jest wprost kontrastem młodych lat Prusa, jak i mocną sylwetką Kasprowicza.

W tym samym jednak czasie „amatorski teatr" klas szóstych zajął się przygotowaniem do powtórzenia z tak wielkiem uzna-

niem przyjętej poprzednio komedji Fredry „Pan Geldhab“. Ponieważ recenzja była już umieszczona, nie będę się narażał nikomu i poprzestanę jedynie na kilku uwagach.

Grą stanęli młodzi artyści na poziomie swego zadania, jednakże dziwić się należy, iż podobna polecenia godna impreza tak słaby oddźwięk znajduje w kieszeniach mieszkańców Nowego Sącza. Zdaje się, iż płynie to nie z niedostatku, (bo przecież buda cyrkowa codziennie była nabita), lecz z braku zrozumienia dla prawdziwej sztuki.

Momentem bezsprzecznie jaśniejszym była wycieczka kolarska. Wycieczki te pod doświadczonem kierownictwem p. prof. Jarończyka mają już swą ustaloną sławę, jednakże tegoroczna ma specjalnie odmienny charakter. Zaprosiliśmy bowiem kolegów cyklistów z gimnazjum I. Jest to więc pierwszy krok na drodze czerwono-szarego przymierza. (Należałoby coś podobnego urządzić dla gimnazjalistek i seminarzystek).

Wiadomościami z wycieczki podzielimy się z naszymi Czytelnikami i Czytelniczkami w numerze następnym, który ukaże się dnia 15 maja.

Stwórzmy „Kącik przyrodniczy“!

Przelot ptaków.

Na wiosnę nie od rzeczy będzie wspomnieć o przelocie naszych ptaków. Prócz tego, że ptaki przelotne mają specjalnie przystosowaną budowę do długotrwałego lotu, to w ich odlocie spotykamy wiele innych ciekawych szczegółów. U wszystkich przelotnych ptaków najpierw odlatują młode, później samiczki, a wkońcu stare samce. Młode boćki wylatują 14 dni wcześniej od starych. Ich to odlot odbywa się we wzorowym porządku, poprzedzony jest „sejmem“ (jest to zebranie bocianów z okolicy), na którym próbując swych sił, urządzają popisy wytrwałości i zręczności lotu. Zręcznych witają bociany „widzowie“ z wielkiem entuzjastycznem klekotaniem, kaleki zaś i słabe znajdują natychmiastową śmierć pod dziobami surowych, ale roztropnych sędziów, z obawy, by takie jednostki nie utrudniały lotu, zostają uśmiercone. Czasem nawet zdarza się, że silni przewodnicy stada napadają na gniazda ze spóźnionemi z wylęgu bocianiętami, zabijając je.

Bociany przylatują do nas w pierwszym tygodniu ciepła, czekając przytem na pomyślny wiatr; najpierw wysyłają straż, by ta skonstatowała stan temperatury. Stada liczą od kilkunastu do kilku tysięcy sztuk. Lot ich ze środkowej Afryki do nas trwa kilkanaście dni.

Niektóre ptaki, jak jaskółki, słowiki i inne przylatują do nas nocą, a odlatują w dzień. Wszystkie prawie ptaki, a przedewszystkiem słowiki, źle się czują w ciepłych krajach, nie śpiewają, ani nie ścielą się.

Czas odlotu ptaków jest różny: słowiki i jaskółki odlatują 15 sierpnia, inne zależnie od długości ciepłej jesieni, a dzikie kaczki podczas lżejszej zimy pozostają nad wodami.

Przylot ptaków również zależny jest od wielu czynników. Pierwszy jednak zawsze jest legendarny skowronek. Czasem niema jeszcze owadów, więc biedne ptaszę musi się zadowolnić młodą trawką, by nie zginąć głodową śmiercią.

Niewszystkie ptaki lecą za morze, np. kuropatwy zadawalniają się ciepłem Podola, nie lecą one w powietrzu, lecz biegną po ziemi. Sowy i wrony zaś przylatują do nas na zimę z okolic zimniejszych, a na wiosnę wracają na

północ. Ptaki formują się do odlotu w sznury, klucze, trójkąty, gromady, na przodzie lecą i prują powietrze najsilniejsze ptaki, za niemi słabsze. Ptaki ciągną zawsze swoimi szlakami lądem, lub morzem z krótkiemi odpoczynkami, w czasie których ludzie miljony ptaków tępią. Francja i Niemcy słyną na całą Europę z barbarzyńskiego tępienia ptaków, bez względu na ich piękno i pożyteczność.

Ze zdwojoną więc pracą stańmy na usługi biednym śpiewakom, by od nas nie tylko nie doznały krzywdy, ale w różnej postaci i formie opiekę.

C. d. n.

M. J.

K. O. P. O. Stary Sącz,
sem. żeńskie.

Buja księżyc po błękicie...

Hej! tam z za chmur, z podniebnych szczytów
Wyziera księżyc szczerozłoty.
O! zwróćże skroń, hen — do błękitów
I spytaj się: — „Kto jesteś Ty?"

— „Jam panem jest otchłani nocy,
Jam królem jest całego nieba,
Jam świadkiem wszego zła i mocy,
Jestem i będę! — wiedzieć ci to trzeba.

O! pytasz się, naiwny chłopcze,
Jakbyś nie wiedział, skąd ten blask,
I kto cię tyle razy chłoszcze,
Zachęca, wabi, udziela ci łask....

Jam widział ludzkie łzy i bole,
Męki i smutki, rzewne płacze,
Same nieszczęścia i niedole,
Cierpienia same i rozpacze.

Nie tylko same łzy! — o, nie!
Widziałem też uśmiech na licach,
Słyszałem rzewne, błogie pienie
O bohaterach i obrońcach.

Byłem chatynki niskiej u progu,
W komnatach dumnych pałaców;
Wiem, jak to wioska oddana jest Bogu,
Poznałem życie magnatów!"

. . . .

Buja księżyc po błękicte
I spoziera z rozrzewnieniem
Na to nędzne ludzkie życie,
Porównuje je z cierpieniem.

Lecz nie tak jest, o księżycu!
Życie nasze nie jest nędzne!
Bo to przecież w naszem życiu
Ideały niebosiężne!...

My pracujem bez wytchnienia,
Jasnem okiem patrzym w dal,
Nieznane są nam cierpienia,
Bośmy silni, jako stal!

W górę, w górę serca nasze!
Zbudźmy się wreszcie do czynu
I wysoko, jak to ptaszę
Wzbijmy się po liść wawrzynu!...

„Bratek".

Semper idem.

W kalejdoskopie.

Był sobie raz chłopczyk mały,
Lubił łąki, lasy, kwiaty,
Marzył, błądził przez dzień cały,
Chodził w pola, rwał bławaty...

A gdy podrósł i do szkoły
Zaczął chodzić, nasz marzyciel
Już był żywszy i wesoły —
Często chwalił nauczyciel...

A gdy został „gimnazjastą",
Przestał w polu rwać bławaty;
Wolał teraz iść „na miasto",
Gdzie ładniejsze widział kwiaty...

Widział róży piękne rysy,
Jej płonące, ciemne lica,
Niezabudki i irysy,
Lilje — białe, jak dziewica...

Lubi kwiaty nasz bohater,
Ale z pośród nich zaś... różę, różę...
Bo serduszko ma jak krater,
Smagłe liczko, oczy duże...

Ona również pokochała
Całem sercem swego panka —
A miłością doń tak pała,
Jak nie każda sądeczanka...

C. d. n.

Rozrywki umysłowe.

Zagadka geograficzna.

[ul. Górkiewicz Eugenjusz, klasa VII B.]

1	A	A	A	A	A
2	A	B	C	E	E
3	E	I	J	K	L
4	Ł	Ł	Ł	M	N
5	N	Ń	O	O	O
6	O	Ó	R	R	R
7	S	T	T	U	W
8	W	W	W	Y	Z

Należy litery tak poprzestawiać, aby wyrazy czytane poziomo, dały nazwy ośmiu miast polskich.

Rząd środkowy pionowy, oznaczony tłustemi linjami, da nazwę innego miasta w Polsce.

Żarcik.

Czy krzyż na świątyni Salomona był z drzewa cedrowego, czy też z bronzu?

Trzy zagadki.

1] Gdzie stoi trębacz, gdy trąbi?

2] Komu sięgają długi powyżej uszów?

3] W jakiej epoce zginęła czwarta część ludzkości?

Bilety wizytowe.

Cyryl Zamojski Nipo	*Otto Derk* Ural

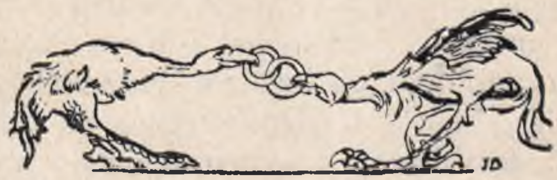
Przestawiając litery, odgadnąć rodzaj zajęcia każdego z tych panów.

Ł. Potrawski	*Karol Wost*

Przestawiając litery, odgadnąć ulubiony rodzaj sportu tych panów.

Składanka sylabowa.

1. = tytuł w Anglji.
2. + 3. = płacz, narzekanie.
1. + 2. + 3. = izba ustawodawcza.



Dział oficjalny

dwutygodnika młodzieży „Lot“ w Nowym Sączu.

Dnia 17 IV. 1931 r. odbyło się zebranie „Lotu“. Załatwiono sprawy administracyjne i finansowe. Redaktorka J. Kumorówna zrzekła się sekretarstwa, które objęła kol. red. E. Tomaszewska. Redakcja dziękuje jak najuprzejmiej za pracę i trud dla dobra ogółu. Do redakcji wszedł Skoczeń Wł. gimn. I., Kalisz Józef II. gimn. Przestał być członkiem redakcji Wroński. Na zebraniu odczytano także artykuły Sem. żeńskiego ze St. Sącza. Redakcja bardzo za pamięć dziękuje, jednakże najmilszą formą wyjawienia jej byłoby nawiązanie bliższego kontaktu. Przy dobrych chęciach wszystko zrobić można [przykład: Sem. męskie!]

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

J. K. W wiekopomną rocznicę. Rzecz dobra. Brak miejsca, nie umieścimy.

Konwiktorki SS. Kl. w St. Sączu. Bardzo jesteśmy zadowoleni, że Konwikt nagle ożył. Prosimy o dalsze artykuły.

Życie mrówek pójdzie w następnym numerze.

Cena numeru pojedynczego 25 gr
Prenumerata: kwartalnie . 1·80 zł
SKRYTKA POCZT. Nr. 127.

Adres Redakcji i Administracji:
Nowy Sącz, ul. Jagiellońska, Gimn. II.
Rękopisów nie zwraca się.

Redaktor odpowiedzialny: Prof. **Bolesław Nytko.**
Komitet redakcyjny uczennic i uczniów szkół średnich w Nowym Sączu.
Drukarnia A. Mółka — Nowy Sącz, Pijarska 15.